

W jednym z ostatnich numerów „Życia Literackiego” Leszek Elekrowicz w reportażu ze Stanów Zjednoczonych przytoczył taki fakt: podczas pewnej imprezy konferansjer powiewając 50-dolarowym banknotem obwieścił, że gotów dać go natychmiast temu, kto użyje tej kwoty dla jakiegokolwiek ideowej sprawy. Jakże symptomatyczny dla naszych czasów żart! Ale czy tylko dla naszych? W sztuce Ibsena „Rosmersholm” Brendel zwraca się do Rosmera: „Czy możesz mi udzielić pożyczki? Czy możesz mi służyć jakimś ideałem? Albo nawet dwoma? Dwa używane ideały. Zrobisz dobry uczynek, bo jestem goły jak święty turecki.”

Reżyser poznańskiego przedstawienia sztuki Ibsena, Maria Straszewska, słusznie podkreśliła tę właśnie — współczesną i zarazem najmniej do tej pory wyeksploatowaną — warstwę sztuki. Do tej pory ograniczano się raczej do symboliki, traktując akcję sztuki jako paraboliczny wyraz ta'ernih, egzystencjalnych treści, bądź też przenoszono ciężar ideowej wymowy na problem emancypacji kobiet. Oczywiście ani pierwszy, ani drugi wariant nie byłby już dzisiaj możliwy do podjęcia. „Czyste idee kantowskie”, których dopatrywano się u Ibsena w okresie Młodej Polski, zdołały wywletrzyć, a symbolika głębi i sceneria „nagiej duszy” nazbyt już traci myszką. Zresztą już w latach trzydziestych to właśnie podejście do Ibsena budziło zrozumiałą opór, prowokowało do kpiny. Z okazji wystawienia „Budowniczego Solness” pisał wtedy Bohdan Korzeniewski: „Już tylko można z pewnym humorem wyobrazić sobie, jak potężne wrażenie wywarłaby ta sztuka na publiczności Krakowa w tym okresie, kiedy w kawiarniach wśród literatów w czarnych pelerynach i z czarnymi fontaziami na szyjach przesładywała »naga dusza«. (...) Dzisiaj słucha się szeptów Solnessa o »szparze w kominie« czy zachwyty Hildy nad potężnymi wieżami z uczuciem zupełnie innym, prawie świętokradzkim. (...) Oczywiście — w ten sposób również sztuka zostaje zaktualizowana. Tylko że to już nie to. Powietrze w sali teatralnej ochłodziło się zupełnie — jest rześkie, nie ma ci m'wli i nie oszołamia. Na to nie ma rady. Starego nastroju nie zdoła przywrócić najlepsza gra aktora.”

Przedstawienie poznańskie uniknęło szczęśliwie zasadzek tkwiących w wulgarnie pojmowanym freudyzmie, nie starało się również zbyt natrętnie przywracać starego nastroju. Czy jednak zdołało rozgrzać powietrze w sali teatralnej, zamącić myśli — i oszołomić?

Tak — ale tylko w epizodach. Wówczas, gdy poboczne postacie, zwłaszcza Ulrych Brendel i Piotr Mortensgaard, omijały zrećnie symbolikę i wątki obyczajowe, aby wnieść na scenę własne problemy i podnieść je do godności sprawy pierwszoplanowej. Gdy poszukiwały ideałów, dla których warto żyć, które są wyższe i istotniejsze od samego życia. Z perspektywy dramatu włóczęgi Brendla, byłego nauczyciela Rosmera, który zjawiając się w miasteczku z wielką misją przegrywa nagle swoje życie, gdyż okazało się, że „skrzynie ze skarbami, na których siedział przez dwadzieścia lat, były puste”, a z ideału zostało „zero do kwadratu” — Inaczej rysuje się również dramat Rosmera i Rebeki West, inaczej rysuje się postać Beaty Rosmer, która popełniła samobójstwo, nie chcąc stać na przeszkodzie szczęściu swego męża i Rebeki. Wszystkie te postacie, walcząc nie tyle o życie, co o jego sens, o ideały, dla których warto żyć, musiały pogodzić się w końcu z przegraną, bowiem nie znalazły takiego ideału, któremu nie trzeba zaprzeczyć, którego nie trzeba odrzucić. Jan Rosmer głosił potrzebę uczciwości i szlachetności, zerwał nawet w imię zasad z kościołem (był pastorem), ale równocześnie dostał się w sidła samozaprzeczeń — oraz w ręce Rebeki West, dla której (nawet o tym nie wiedząc) pchnął żonę do samobójstwa. Rebeka West, doskonały typ zeszlowieczonej emancypantki, pragnęła zerwać wszelkie związki kępujące swobodę, uzyskać niezależność, a przecież jedynym motorem jej działania było zdobycie Rosmera i zajęcie miejsca jego żony, Beaty. Nic dziwnego, że w tej sytuacji jedynym sposobem ratowania ideałów stają się śmierć.

Kto zatem zostaje „na placu” jako zwycięzca? Oczywiście — Piotr Mortensgaard. On właśnie (jak mówi Brendel) „będzie panem i władcą przyszłości. (...) Ma nieograniczone zdolności. Może uczynić wszystko, co zechce. Bo Piotr Mortensgaard potrafi żyć bez ideałów. A to jest wielką tajemnicą działania i zwyciężania. To jest kwintesencja wszystkich mądrości.”

Czyżby więc Ibsen współczesny, Ibsen odnaleziony, który ostrzega i zarazem zachęca do dyskusji? Teatr poznański nie dał jeszcze na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi, zarysował jedynie pewne szanse i możliwości nowego odczytania sztuk, które na scenach polskich solidnie już się zakurzyły.

JOZEF RATAJCZAK

T. Nowy Październik